Nr. 2 (5) Warszawa, dnia 4 września 1938 r.

Cena 20 gr.

POLSKA

MYŚL NIEZALEŻNA

TYGODNIK

Jaki obywatel —
taka Rzeczpospolita

Będzie gorąco, czy nie?

Powiadają, że zbliżający się sezon polityczny będzie bardzo ożywiony. Nawet — gorący.

Dla czego tak się mówi?

Przede wszystkim dla tego, że ogromnie wrzaskliwie politykowały w okresie przedwakacyjnym t. zw. grupy poreżimowe, a ponadto dla tego, że stoimy w obliczu wyborów samorządowych kilku większych miast. Kiedy odbędą się wybory do samorządu na wsi — nie wiadomo. W każdym razie na odcinku tych kilku samorządów miejskich ma nastąpić „próba sił" i stąd spodziewają się ożywienia politycznego.

Skąd zrodziło się to dotychczasowe ożywienie polityczne?

Z Sejmu, proszę Państwa. Z tego bezpartyjnego Sejmu. Bo gdy panowie posłowie, a ściślej mówiąc — urzędnicy na etacie sejmowym, reprezentujący nie więcej jak swój indywidualny sąd na poczynania programowe czynników, które ich chciały mieć w Sejmie, zorientowali się, że wiszą w „próżni integralnej", nie mając żadnego kontaktu z wyborcami, poczęli dawać folgę własnym nastrojom politycznym. Z racji swoich ludzkich instynktów zrywali poprostu z rolą automatów, jakie odgrywać

mieli z tytułu przemyślnie skonstruowanej poprzedniej ordynacji wyborczej, a której zawdzięczali zdobycie fotela poselskiego.

Poczęli więc politykować.

Z drugiej strony deklaracja ideowa płk. Koca, bazująca na czynniku narodowym i państwowym, ośmieliła Stronnictwo Narodowe z przybudówkami do okrzepnięcia w akcji politycznej. A ponadto do ożywienia akcji i nastrojów politycznych przyczyniła się lepsza koniunktura gospodarcza. Bo jak są pieniążki, to łatwiej organizować wiece, tworzyć pochody, drukować bibułę agitacyjną i wogóle prowadzić życie polityczne na szerszą skalę. Nic innego, tylko koniunktura gospodarcza przyczynia się do powstawania całego szeregu organów i organików prasowych, będących tubą gulaszu politycznego tych lub innych ugrupowań, nie tyle politycznych, ile politykujących. Dla tego tyle zgiełku i wrzasku na froncie politycznym, który znajduje się w przede dniu „sezonu" jesienno - zimowego.

Lecz niema potrzeby przeceniania tego wszystkiego. „Sezon" napewno nie będzie taki, o jakim się mówi. Dwanaście lat doświadczenia reżimu rządzącego ma też swoje znaczenie. A odnośnie zarzucanej mu bezprogramowości ma on zawsze na swoje usprawiedliwienie wzniosły zwrot: Jakto, nie miła wam jest idea obrony państwa?

„Siła obronna państwa, wywodząca się z prostej linii z dobrze zorganizowanego i kierowanego jego życia wewnętrznego, jest najbardziej przyrodzoną, a równocześnie najkardynalniejszą ideą, pod którą społeczeństwo powinno się skupić, zapominając o jałowych a demoralizujących sporach, osobistych urazach, porachunkach przeszłości i mędrkującym pieniactwie. Zespolenie skoordynowanego wysiłku pod tym sztandarem umożliwi naszemu pokoleniu wykonanie ogromnego zadania, wynikającego z konieczności:

a) Odrobienia istniejących ciągle jeszcze pod względem gospodarczym i cywilizacyjnym szkód, wyrządzonych nam przez zaborców.

b) Zagwarantowania naszej ojczyźnie spokojnego rozwoju i pewności jutra wśród niepewnej atmosfery świata".

Pod tymi punktami deklaracji ideowej płk. Koca podpiszą

się chyba wszystkie stronnictwa polskie? Nie pachnie im tylko ta „jednolicie kierowana wola", która jednak zarówno po lewej, jak i po prawej stronie naszych granic państwa decyduje o wszystkim. Tylko, że tam ta wola została narodowi narzucona z tytułu narosłych nastrojów i przyjętych haseł, gdy u nas przy przyjętym haśle obronności państwa nastroje polityczne płyną luzem, bez kształtowania się w jeden dominujący blok czy też obóz.

Bo, niestety, takie dziwnie niewyklarowane jest oblicze polityczne społeczności polskiej. Po okresie chaotycznej galopady na polu demokratyzacji państwa w pierwszych latach niepodległości i po rozwięzłości życia politycznego w następnym okresie, przyszło radykalne cięcie, spowodowane wolą Stróża dobrych obyczajów w państwie. Nie chcąc jednak, aby po Jego śmierci odrodził się stan anarchii politycznej, zagwarantował krajowi naprawę ustroju państwa.

Powołany przez Marszałka Piłsudskiego Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem istotnie przeprowadził naprawę ustroju i przyczynił się do wzmocnienia władzy w państwie, ale roli politycznej nie odegrał żadnej.

Ale gdyby tylko to. W dziedzinie obyczajów społeczno-politycznych BBWR. ciężko nagrzeszył i podważył zaufanie do wszystkiego, co nosi firmę polityczną obozu rządzącego. Bo BBWR. się rozwiązał, a obóz pozostał przy władzy, mając do dyspozycji karnie zorganizowany aparat administracji państwowej, którym, nota bene, reguluje wszelkie „niecenzuralne" porywy stronnictw opozycyjnych.

Nastroje polityczne, jak powiedzieliśmy, płyną luzem. Psychoza nieufności do wszystkiego, co wypływa od strony czynników utrzymujących się przy władzy, trwa. Dla tego rozwój OZN. jest taki problematyczny, bo przez te czynniki został do życia powołany. Mimo dalekosiężnych haseł programowych. Ale nie ma też powodu do ustawania w akcji, bo ma ją wspartą na czynniku rządzącym. Ma wielką pomoc. Zbyt wielką... Może więc działać powoli.

Stąd nasze rozumowanie, że zbliżający się sezon polityczny nie będzie taki gorący. OZN. do wyborów samorządowych w Poznaniu, Łodzi czy też Warszawie nie ma się co pchać.

Bo z czym że pójdzie do wyborcy? Wszystko ma przecież w sferze „planowania". A raczej w stratosferze... Tam prawica jest panem sytuacji. Ostatnie wybory w Łodzi i Poznaniu dowiodły, że niema miejsca dla „umiarkowanych" nastrojów. Jest lewica, albo prawica. I basta. Za, albo przeciw narodowemu wykładnikowi interesów.

Wybory parlamentarne za dwa lata czasu. Z wyborami do samorządów gminnych też jeszcze sprawa nie wyjaśniona i zapewne nie prędko się wyjaśni, bo wieś trzeba na gwałt „przeorać". Stąd tezy programowe OZN., dotyczące wsi.

Ale OZN. musi pamiętać o jednym: że robotę organiczną na wsi od dawna robią Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Narodowe. Oni już mocno wieś „przeorali", a na resztę niedociągnięć mają przekonywujący argument, że to czynniki rządzące pracę tę udaremniają. Trudno ich będzie więc nie tylko zdystansować, ale i dogonić. Dla tego trzeba się będzie z tymi ugrupowaniami politycznymi sprzymierzyć, dogadać. Na to wskazuje trzeźwy rozum.

Masoneria taka i owaka

Niepoważne było podjęcie dyskusji o masonerii, groteskowy jej przebieg i nikły rezultat. Zapowiedzianych przez „wesołego premiera" katalogów z imiennym spisem wolnomularzy polskich jakoś nie widać. Szukał ich pono w Londynie specjalny delegat „*Wiadomości Literackich*" — ausgerechnet „*Wiadomości Literackich*" — i, oczywiście, nie znalazł. I trud swój uwieńczył pośpiesznym wywodem: „Nie taki mason straszny, jak go malują". Wywód pośpieszyły „*Wiadomości Literackie*" wywiesić na widocznym nagłówku. *Quod erat demonstrandum.*

Z mimowolnym sukursem nadbiegli „dzieciom wdowy" gorliwi lecz niezgrabni antymasońscy działacze, publikując nazwiska i adresy członków „Rotary-Klubów" w Polsce, przyczym wyszło na jaw, że do tej „masońskiej" organizacji należą ludzie spokojni, stateczni i naprawdę zasłużeni i poważani, jak np. p. Piotr Drzewiecki, prezes Warszawskiego Rotary-Klubu. Więc ten i ów czytelnik podrapał się w głowę i pomyślał sobie:

— Jeśli to ma być masońska banda, to chciałbym i ja do niej należeć.

Inną niedźwiedzią przysługę akcji przeciwmasońskiej wyrządzili pisarze klerykalni i konserwatywni, sięgając w dociekaniach swoich wstecz do Templariuszy, Różokrzyżowców, Illuminatów, a zwłaszcza dokopując się do masońskich fundamentów i źródeł Rewolucji Francuskiej i związanych z nią organicznie polskich czynników walki o niepodległość. Skoro masonami, w tym okresie, byli patrioci i bohaterzy, jak Kościuszko, ks. Poniatowski, marsz. Małachowski, ba! nawet biskup Krasicki — to znów powstaje w umyśle czytelnika zamęt, krystalizujący się w takiej formule:

— Skoro najwięksi i najlepsi w narodzie byli masonami — to niech żyje masoneria!

A gdy po chwili przyjdzie refleksja:

— A jednak Kościół potępia masonerię i oskarża ją o cementowanie w Polsce fołksfrontu razem z Żydami i komunistami. — Czytelnik rozprawia się z nią argumentem:

— Ba! Cóż Kościół? Kościół, będąc stroną w tej walce, nie może być miarodajnym sędzią. Jeśli ksiądz walczy z masonem, to dlatego, że widzi w nim rywala. Czyli, innymi słowy, broni swoich interesów zawodowych.

Oto dlaczego, chcąc walczyć skutecznie z masonerią, należy z walki wyeliminować czynniki klerykalne i konserwatywne, zaniechać dociekań historycznych, strzec się uogólnień, ograniczyć się do chwili obecnej i używać argumentów konkretnych.

* * *

— A więc, istotnie, nie taki mason straszny? — spyta czytelnik.

Odpowiadamy:

— Są różni masoni. Straszni i niestraszni. Niestrasznych znalazł w Londynie korespondent „*Wiadomości Literackich*". Znalazł tym łatwiej, że nie szukał innych.

Co do „strasznych", to nie widzi się ich, ale wyczuwa. Może ich znał, a może tylko lepiej od nas wyczuł ś. p. Andrzej Strug, który był przecież Wielkim Mistrzem Loży Masońskiej i w ostatniej, niedokończonej swojej powieści „*Miliardy*", naszkicował zarys tej złowrogiej potęgi.

— Jakto? Wielki Mistrz? Przeciwnik masonerii? Czyżby nowy Konrad Wallenrod?

O, nie! Sprawa przedstawia się prościej. Strug był ideowym socjalistą, ideowym masonem, człowiekiem osobiście nieskazitelnym, czystym, jak kryształ. Takich ludzi masoneria chętnie stawia na piedestał, wykorzystując ich nazwiska i często ich naiwność. Strug , jako „Wielki Mistrz", był honorowym dostojnikiem, celebrującym uroczystości masońskie, ale bynajmniej nie wtajemniczonym w ich cele. Ktoś inny, za jego plecami, pociągał za nitki i puszczał w ruch manekiny. A i ten ktoś był pionkiem w rękach jeszcze potężniejszych ktosiów, przebywających za granicą i traktujących Polskę, jak jedno z pól wielkiej szachownicy. To musiał w końcu wyczuć i odgadnąć Strug, wiedziony intuicją; dlatego złożył urząd W. Mistrza i dlatego napisał w „Miliardach" słowa, które wywołały zdumienie.

Tak więc, są masoni straszni obok niestrasznych. Masoneria jest bowiem różna: taka i owaka. Liczby nic tu nie znaczą. Stany Zjednoczone A. P. liczą 3½ miliona masonów, na ogólną ilość 4½ miliona „dzieci wdowy" na świecie. Ale ta masoneria amerykańska jest niewinną igraszką, napół filantropijną, napół maskaradową, bez politycznego znaczenia. Kongresy i pochody masonów w strojach często groteskowych, są filmowane i oklaskiwane, jak pochody karnawałowe w Nicei.

W Europie najwięcej lóż i czynnych masonów liczy W. Brytania, bo średnio 5/7 w stosunku do naszej części świata. Cóż z tego? Na czele lóż brytyjskich stoi ks. Counaught, członek panującego Domu. Masoneria angielska jest religijna, monarchiczna i konserwatywna. Mason angielski unika stosunków towarzyskich z masonem francuskim, członkiem Wielkiego Wschodu, bo uważa go za ateusza i nieomal „łobuza" (w czym się zresztą nie myli). Wielkim Mistrzem przedwojennej masonerii niemieckiej był ks. Henryk Pruski. Loże niemieckie, zwłaszcza pruskie, były protestanckie, arystokratyczne i ekskluzywne (Żydów z zasady nie przyjmowano). Wogóle masoneria w krajach protestanckich nie jest „straszna", co było zresztą wiadome przed ankietą „Wiadomości". Ale masoneria w krajach katolickich? Wielki Wschód Francji, Italii, Hiszpanii? O, to zupełnie co innego! Ta masoneria potrafi być straszną.

Potrafi robić zamachy i przewroty, jak w Portugalii. Potrafi scementować „front ludowy", jak w Hiszpanii i we Francji. Z wiadomym skutkiem. Potrafi przez swoje filie *in partibus* przyczynić się do rewolucji w Turcji i w Rosji. Potrafi obsadzać wszystkie szczeble władzy swoimi ludźmi i pod płaszczykiem „demokracji", nawet radykalnej, nawet socjalistycznej, rządzić zgoła despotycznie. Czy w imię postępu i pokoju? Różnie bywa. Raczej przeciwnie. We Francji masoneria nie pozwala kobietom głosować, bo uważa je za żywioł religijny i zachowawczy oraz pacyfistyczny. A pacyficyzm niezawsze jest masonerii na rękę.

Masoneria francuska pomaga bowiem czynnie „braciom" hiszpańskim w Barcelonie i Walencji. Masoneria francuska, w obronie „braci" czeskich, bez wahania pójdzie na wojnę z Niemcami. Ściślej: sama nie pójdzie, ale pośle armię francuską. Masoneria ta jest francuską w niewielkim coprawda stopniu, ale krew, którą tak ochoczo dysponuje, jest stuprocentowo francuska...

Nie wierzcie więc *„Wiadomościom Literackim"*, gdy twierdzą, że masoneria nie jest straszna. Masoneria bywa taka i owaka. Bywa i nieszkodliwa, jak w Anglii, śmieszna, jak w Ameryce. Ale bywa i straszna. Dajmy więc spokój tamtej, a strzeżmy się tej.

Póki jeszcze czas.

PROSIMY o wpłacanie prenumeraty na konto nasze w P. K. O. — 25.441. Każdy, kto wpłaci zł. 2.50, będzie miał zapewniony abonament do końca roku, a numery wrześniowe otrzyma za darmo.

Polecenie „Polskiej Myśli Niezależnej" znajomym — to obywatelski krok na drodze walki z objawami zła w życiu publicznym.

Za dużo legendy

Pamiętamy nie tak dawne polskie próby przelotu nad Atlantykiem i ich tragiczny finał. Nie poszczęściło się. Poprostu maszyna nie sprostała wobec kaprysów żywiołu. A pamiętamy, ile dokoła tych lotów było rozgłosu, legendy i... zawiedzionych nadziei. Lepiej było mniej wiedzieć, mniej się entuzjazmować i zaoszczędzić sobie potym goryczy. Bo nigdy nie wiadomo, co tego rodzaju próba przyniesie.

Daleko zdrowiej przeżywali emocje z racji przelotów transatlantyckich Amerykanie. Po fakcie, a nie przed faktem. Wystarczy przypomnieć sukcesy Lindbergha, Posta, Hughesa czy nawet Corrigana, co to wsiadł do „starej kasty" i „przez pomyłkę" powtórzył wyczyn Lindbergha. Można zrozumieć potym niesamowity entuzjazm, jaki ogarniał Amerykanów, bo ich wyczyny rodzą się zazwyczaj w dyskrecji i zaskakują opinię dokonanym faktem.

Mieliśmy i my, coprawda, dwa piękne sukcesy, Żwirki i Wigury oraz Bajana, zrodzone w podobnych okolicznościach i czyż nie było wtedy powodu do powszechnej radości i entuzjazmu?

Byle tylko nie przed czasem wyżywać się, bo w razie figla natury emocje wysokopienne nabiorą odwrotnego kierunku.

Nie rozumiemy jednej rzeczy: Jak można z poważnej imprezy naukowej, bo do takiej zaliczamy przygotowania do jesiennego lotu stratosferycznego, robić sensacyjną bombę, referowaną przez laików i podjadków prasy brukowej. Bo do tego doszło, że każdy szewek powłoki balonowej „Gwiazdy Polski" omawia się z przesadną drobiazgowością i dosadnym cmokaniem z zachwytu. Aż mdłości biorą.

I niema dziwoty, że na skutek tego „propagandowego" kursu, rodzą się potym wręcz odwrotne opinie o całej tej imprezie, które noszą miano „bujdy balonowej".

I nie rozumiemy drugiego: Po co do tej legendy balonowej urządzać jeszcze konferencje prasowe? Żeby prostować, czy odbarwiać nastroje społeczne? Nie trzeba było wogóle robić dokoła tej imprezy huczku, z czego prasa brukowa zrobiła hecę. Wiemy, że to niby trzeba urobić opinię, bo preliminarz wpły-

wów liczy na 150 tysięcy złotych w formie datków od przemysłu, banków i innych, ba, liczy ponadto na 100 tysięcy złotych z biletów wstępu do Doliny Chochołowskiej! Zatym ze startu balonowego ma być widowisko nielada.

A jak w stratosferze zajdzie jakaś zgoła nieprzewidziana okoliczność i ta wymoszczona gumą oraz legendą powłoka — „nawali"? Co uchowaj Boże, ale z żywiołem to nie przelewki. Więc co wtedy? Gorycz i spuszczone na kwintę nosy.

Dla tego z całym naciskiem powiadamy, że propaganda jesiennej imprezy balonowej jest niewłaściwa i niezręczna. Poważna impreza naukowa tego rodzaju reklamy nie potrzebuje. Naukowcy powinni być skromni i małomówni. A tutaj zdjęcia z tyłu i z przodu, foto i faktomontaże i Bóg wie nie co.

Pomijamy fakt zamierzonej żebraniny u przemysłu i banków. Koniunktura jest, więc coś niecoś dadzą. Bo z dobrej i niewymuszonej woli te 150 tysięcy tak lekko nie spłynie. Ale o tych 100 tysiącach za bilety wstępu na miejsce startu, Panowie — zapomnijcie!

Tylko bez złudzeń, trajlowania i bujania w powietrzu, bo po 1) dziesięć złotych, ani dwadzieścia nikt nie zapłaci, po 2) jak obniżycie do 5 złotych, to na wyżej wymienioną sumę trzeba zebrać 20 tysięcy chętnych, którzy do Doliny Chochołowskiej się wybiorą. A tylu chętnych napewno nie będzie, jak Polska długa i szeroka. Znów te bidne, okoliczne gazdy za wstęp Wam nie zapłacą. Więc tak, czy owak — 100 tysięcy złotych nijak nie wychodzi.

Widzicie więc sami, że za dużo niezdrowej legendy jest dokoła tej imprezy podniebnej.

KIEDY ZNOWU WOJNA?

W obecności min. Pawła Reynaud rozmawiano o możliwości wybuchu wojny.

— Wierzcie mi — odezwał się znakomity polityk — wojna nie jest tak bliska, jak mówimy, ale nie jest też tak daleka, jak myślimy!.... („Express Poranny").

O kropkę nad „i"

W artykule p. t. „Pauperyzacja czy reprezentacja?" poruszył p. A. Junosza Gzowski („Wieczór Warszawski" Nr. 244 z 30.8.1938 r.) ważną sprawę, dotyczącą duchowieństwa.

Jako punkt wyjścia swych rozważań przyjął autor uposażenie duchowieństwa w Polsce, przy czym omówił dwa ścierające się u nas poglądy. Pierwszy, że istniejąca pauperyzacja duchowieństwa, jako rezultat pewnej nadprodukcji kapłanów i parafii, jest rzeczą niepożądaną (pogardzanie „nędzaka" przez chłopa, utrata wpływów na wsi, zajęcie walą o byt zamiast duszpasterstwa, niemożność przykładowego okazania — promieniowania kultury i cywilizacji), drugi, iż duchowieństwo powinno być ubogie, gdyż w ten sposób będzie więcej zespolone z nędzą wiejską, tym bardziej, iż właśnie ciernista droga kapłaństwa będzie dowodem ideowości chrześcijańskiej, nie dbającej o dobra materialne. Z dalszych wywodów p. Junoszy Gzowskiego wynika, iż jest on przeciwny pauperyzacji duchowieństwa; pogląd swój popiera autor: 1) fatalnymi konsekwencjami zubożenia wiejskiego duchowieństwa prawosławnego w dawnej Rosji, 2) wysokim dobrobytem duchowieństwa katolickiego nawet w kulturkampfowych Niemczech, 3) przykładem bohaterskiej postawy naszego duchowieństwa na Kresach Wschodnich i w Rosji, które, mimo dobrobytu, nie załamało się w chwilach próby po rewolucji i świetnie zdało straszny egzamin, ginąc w wirze walki.

Sądzimy, że ze zdaniem autora cytowanego artykułu zgodzić się powinien każdy Polak; oczywiście nie obywatel polski, lecz właśnie Polak. Z krwi i kości, bez względu na zapatrywania czy zabarwienie polityczne, niezależnie od tego, czy jest — lub nie — t. zw. katolikiem praktykującym. I, śmiemy twierdzić: przytłaczająca większość Polaków zawsze należycie i odpowiednio oceniała i doceniała te walory, które polskie duchowieństwo rzymsko - katolickie wnosiło pozytywną pracą w rozwój Polski, głównie na terenie wiejskim, w zakresie nie tylko kapłańsko - liturgiczno - kanonicznym, lecz również w dziedzinie społecznej, kulturalno - cywilizacyjnej i oświatowej, a przede

wszystkim w dziedzinie budzenia i podtrzymywania ducha narodowego, jak to się działo na Śląsku i w Poznańskim.

Przyjąwszy tę tezę, poszukajmy źródła wyż wymienionego drugiego poglądu, t. j. poglądu, żądającego od naszego duchowieństwa „surowego życia". Normalne „szukanie" rozpoczyna się od „cherchez la femme", prawda? W niniejszych rozważaniach, hasło to, oczywiście, odpada. Jakie jest drugie, znane, cenione, wypróbowane?

Is fecit, cui prodest!

Komuż w wolnej, niepodległej Rzeczpospolitej mogło zależeć na unieszkodliwieniu, a co najmniej jak najsilniejszym utrudnieniu pracy duchowieństwu? Na obniżeniu prestige'u, a w konsekwencji wyeliminowaniu go z życia społecznego i politycznego, by samemu, jedynie, totalnie, autorytatywnie pozostać panem placu, wyłącznym wpływowym czynnikiem wśród 22 milionowej masy chłopskiej w Polsce?

Odpowiedź sama ciśnie się na usta: „działaczom" prowincjonalnym, a szczególnie wiejskim, Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, zwanemu Bezpartyjnym Rządem Współpracy z Blokiem. Walkę tę z duchowieństwem prowadzili nasi oberstarostowie i oberwojewodowie niemniej ostro, jak niewybrednie i — powiedzmy szczerze — nieinteligentnie. Podobnie, jak w stosunku do zwalczanych innych niewygodnych BBWR-owi jednostek, stosowali prowincjonalni „leaderzy" bebewuerowscy przede wszystkim chwyt polityczny: to endek! W latach od 1928 — 1935 każdy ksiądz był endekiem, i to endekiem niebezpiecznym do tego stopnia, iż podsłuchana, najobojętniejsza zresztą i choćby najkrótsza rozmowa Pana X. z proboszczem czy dziekanem Z., pasowała pana X. na endeka... ze wszystkimi ciężkimi konsekwencjami w opinii Pana Prezesa Rady Powiatowej BBWR-u, konsekwencjami w postaci urobienia „odpowiedniej" opinii w Zarządzie gminnym, na posterunku P. P. i w starostwie. Jak ksiądz Z. i pan X. wyglądali po takiej „opinii" z możnością pracy, posady, z podatkami, mandatami karnymi i t. d., o tym historia... nie milczy.

I dobrze, że nie milczy! Dobrze, że w żyjącym pokoleniu pamięć o tym trwa, że uraz psychiczny, jakiego doznało społeczeństwo skutkiem działalności prowincjonalnych „działaczy"

BBWR-u, nie znikną z dymem pożaru spalonych aktów Bloku. Bo w ten sposób społeczeństwo polskie w swej masie jest dokładnie zaszczepione przeciw tym ludziom z prowincji, którzy tucząc się przez 7 i ½ lat na swej „bezpartyjności", na tłustych posadkach i dietach, żądali od steroryzowanego społeczeństwa surowego życia, głosząc przy kieliszku wódy w pijackich mowach hasło salus reipublicae suprema lex, wznosząc bluźnierczo na zakończenie każdego ględzenia wiadome okrzyki.

Nie mamy zamiaru bronić duchowieństwa czy piać peanów pochwalnych na jego cześć. Nie potrzebuje ono tego; obronić się potrafi samo. Chodzi nam jedynie o jasne stwierdzenie pewnych faktów, zresztą nie nowych, znanych. Otóż nie podlega dyskusji, że najpoważniejszymi faktorami na naszej wsi są księża i korpus nauczycielski — że oni mają przeważający wpływ na kształtowanie się opinii masy wiejskiej. Opinii faktycznej! Gdyż, jak wadomo, na zewnętrzny wyraz opinii (w postaci wyborów, głosowań i t. p.) wciąż jeszcze w niemałym, choć coraz mniejszym, stopniu wywierają naciski sekretarze gminni. Siłą ciężaru gatunkowego duchowieństwa opiera się o nie, o jego inicjatywę, pracę i energię, poważna część pracy społecznej, kulturalnej i oświatowej, a w konsekwencji ma ono często decydujący wpływ na kształtowanie się politycznej opinii wsi.

Tego faktu nie docenił BBWR. Ryzykujemy twierdzenie, że nie przebierająca w środkach i metodach walka z duchowieństwem była jednym z głównych powodów przegranej BBWR-u na wsi. I jeszcze jedno: BBWR swą walką wogóle, a jej złą taktyką w szczególności, pchał przez 7 i ½ lat nasze duchowieństwo w ramiona opozycji.

Przyznać trzeba, że w wielu wypadkach... udało mu się. Kto na tym zyskał? Ci, którym zależy na rozbiciu społeczeństwa, na wprowadzeniu fermentu, posianiu ziarn niezgody.

Dobrze się stało, że odpowiedzialne czynniki zrozumiały (choć późno!), że hasła — i to odwrotnie, in rem suam, wykonywane — nie wystarczą. A jeśli choć trochę prawdy jest na pogłoskach o planach wskrzeszenia niesławnie spalonego trupa, należy odnośnym zbankrutowanym „Fuehrerom" powiedzieć: Cave ant consules, ne respublica detrimentum capiat!"

GODNE BACZNIEJSZEJ UWAGI

z łamów prasy polskiej ub. tygodnia:

Devey contra Hines

Proces leadera nowojorskiej „Tammany Hal", Jimmy Hinesa (przezwanego „królem gangsterów politycznych"), stał się wydarzeniem tak dalece absorbującym uwagę opinii publicznej Stanów Zjednoczonych, że wszystkie inne sprawy odeszły na plan dalszy. Prasa poświęca rozprawie całe kolumny, przed Pałacem Sprawiedliwości, strzeżonym przez liczne kordony policji, gromadzą się tłumy, wyczekujące wiadomości z przebiegu procesu, tu i ówdzie czynione są zakłady kto zwycięży: młody prokurator Devey, czy stary wyjadacz partyjny, 61-letni Jimmy Hines, bożyszcze nowojorskiego lumpenproletariatu.

Na ławie oskarżonych zasiedli: Jimmy Hines, leader potężnej organizacji demokratycznej w New Yorku „Tammany Hal", adwokat bandy gangsterskiej Dutcha Schultza Pegre, dwaj byli sędziowie Hulon Capshaw i Francis Erwin, oraz poprzednik Thomasa Devey'a na stanowisku prokuratora generalnego stanu New York, William C. Dodge, który na parę miesięcy przed aresztowaniem Hinesa wystąpił z osobistym poręczeniem jego nieposzlakowanej uczciwości, nazywając Jimmy Hinesa „dobroczyńcą New Jorku".

Jimmy Hines i całe to towarzystwo oskarżone jest o pobieranie w ciągu 7 lat od różnych mniej lub więcej głośnych gangsterów z Dutchem Schultzem na czele, stałych honorariów w wysokości kilku tysięcy dolarów tygodniowo wzamian za rozmaite przysługi, dzięki którym gangsterzy mogli bezkarnie uprawiać swój proceder.

Olbrzymi akt oskarżenia szczegółowo wymienia rozmaite przestępstwa, szantaże funkcjonariuszów policji i urzędników, urządzanie nielegalnych loterii, wszelkiego rodzaju oszustwa i t. p. Ogólna suma strat, jaką wyrządzili oskarżeni, przekracza 100 MILIONÓW DOLARÓW.

Część tych sum Jimmy Hines używał dla ugruntowania swych wpływów politycznych, a ponieważ był leaderem potężnej organizacji demokratycznej „Tammany Hal" oraz był jednym z najbardziej czynnych propagatorów New Deal'u, proces traci charakter polityczny, a staje się politycznym. Trzeba dodać, że prezydent Roosevelt w swoim czasie odciął się od działalności Hinesa. Stało się to przed kilku laty, kiedy nazwisko Hinesa wplątane było do afery bandy gangsterskiej Seabury'ego, trudniącej się przekupywaniem urzędników.

Oskarżycielem publicznym jest młody prokurator generalny stanu New-Yorku, Thomas Devey, członek stronnictwa republikańskiego. Devey przygotowywał proces od lat kilku. Na podstawie zebranego materiału oskarżycielskiego Hines na wiosnę b. r. został aresztowany, później jednak po wniesieniu kaucji 20 tys. dolarów zwolniony na wolną stopę.

Prokurator Devey z ramienia stronnictwa republikańskiego wysunął swoją kandydaturę na stanowisko gubernatora stanu New York. Jego kontrkandydatem jest sędzia Ferdynand Pecora, przewodniczący trybunału w obecnej rozprawie i członek stronnictwa demokratycznego.

Te szczegóły dodają specjalnej pikanterii rozprawie. PROCES ZAMIENIA SIĘ BOWIEM W BATALIĘ POLITYCZNĄ pomiędzy stronnictwem republikańskim i demokratycznym.

Główny oskarżony Jimmy Hines liczy 61 lat. Wysoki, barczysty z siwą czupryną, nie robi wrażenia starca. Elegancko ubrany Hines zachowuje się z wielką godnością. Niktby na pierwszy rzut oka nie przypuszczał, że ten człowiek to były kowal, który podkuł w początkach swojej kariery 40.000 koni. Były to czasy, oczywista, przedmotoryzacyjne.

Podczas wojny światowej Hines wstąpił jako ochotnik do wojska, walczył na froncie francuskim i po powrocie do kraju całkowicie poświęcił się polityce, zajmując stanowisko prezesa „Tammany Hal" — nowojorskiego centrum partii demokratycznej. Świetny mówca, doskonały psycholog mas — jest typowym przedstawicielem demokracji amerykańskiej.

Hines, oczywiście twierdzi, że jest niewinny. Jego obrońca mówi, że „jutro", jeśli zajdzie potrzeba, wyborcy Hinesa zbiorą milion dolarów, aby wrócić mu wolność. „Niezwyciężony Jimmy" cieszy się olbrzymią popularnością. Podczas pierwszego dnia rozprawy Hines oświadczył:

— Wszystko, co wymyślił Devey, jest kompletnym absurdem. Uczciwi ludzie są po mojej stronie. Nie mam nic wspólnego z nowojorskim dnem. Ćwierć wieku uczciwej pracy jest najlepszą moją obroną. Niech prokurator — ten mały człowieczek, który chce mnie zniszczyć, przedstawi swoje dowody, których nie posiada. Jestem niewinny.

Proces już w pierwszym dniu natrafił na trudności natury proceduralnej. Pojawiła się mianowicie trudność skompletowania ławy przysięgłych. Ponieważ rozprawa toczy się przeciwko osobistościom ze świata politycznego i podziemnego, mało jest amatorów do spełniania funkcji sędziów przysięgłych, w obawie zemsty.

Dopiero po paru dniach ława przysięgłych została skomple-

towana. W skład jej weszło: 2 maklerów giełdowych, 2 dyrektorów wielkich magazynów uniwersalnych, 3 agentów ubezpieczeniowych, 2 inżynierów, 1 fabrykant, 1 buchalter i 1 pośrednik przy handlu nieruchomościami.

OLBRZYMIĄ SENSACJĘ wywołało starcie pomiędzy przewodniczącym sędzią Pecorą a prokuratorem zaraz po rozpoczęciu przewodu. W pewnej chwili sędzia Pecora zdenerwowanym głosem zwrócił uwagę prokuratorowi, że jeśli nie wystarczy dowodów winy Hinesa, przerwie proces. Świadkowie, których rozpoczęto przesłuchiwać, opowiadają historię, nie mające nic wspólnego z procesem.

Na sali zapanowała cisza pełna nerwowego oczekiwania. Oczy wszystkich skierowały się na Devey'a. Prokurator wstał i wolno wycedził:

— 3 lata prowadzę śledztwo w sprawie Hinesa, wroga Ameryki Nr. 1, trzy lata zbieram materiał i dowody winy tego największego złodzieja w historii St. Zjednoczonych. Trzy lata pracuję bez wytchnienia — pan zatym, panie sędzio, może zaczekać 3 dni.

W pół godziny po tym na mieście ukazały się dodatki nadzwyczajne. Dzienniki stronnictwa republikańskiego głosiły: „Sędzia Pecora — przyjacielem gangsterów, Pecora broni Hinesa". Pisma partii demokratycznej donosiły: „Devey niema dowodów" i t. p. Po tym incydencie przewód sądowy odbywał się w spokoju. Duże wrażenie wywołało oświadczenie prokuratora, że udało mu się znaleźć świadka, niejakiego Maksa Sylwermana, odbywającego karę w jednym z więzień w Kalifornii.

Sylwerman był szefem bandy racketeerów, utrzymującej przyjazne stosunki z bandą Schultza. Schultz przed swoją śmiercią opowiadał Sylwermanowi, że płacił regularnie daninę Jimmy Hinesowi w wysokości 1.000 dolarów tygodniowo. Poza tym za pośrednictwem Hinesa płacone były łapówki oskarżonym sędziom, którzy uniewinniali gangsterów.

Większość świadków, przesłuchana dotychczas, złożyła zeznania obciążające Hinesa i oskarżonych sędziów. Z zeznań tych wynika, że istotnie bandy gangsterów, żerujące w New Jorku, stale się opłacały Hinesowi, który załatwiał dla nich rozmaite drażliwe sprawy, jak uzyskiwanie wyroków uniewinniających, zwolnienia z więzień i t. p. Pomagali Hinesowi w tych sprawach oskarżeni sędziowie i prokurator Dodge.

Proces Hinesa potrwa zapewne z miesiąc czasu. Przewód sądowy odsłoni wiele wstydliwych zakątków rzeczywistości amerykańskiej, i z tego względu zasługuje na uwagę, jest to bowiem pierwszorzędne źródło dla poznania stosunków i obyczajów wielkiej demokracji.

Esq. („Słowo").

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Adres odbiorcy:

UWAGA!

Każdy obywatel, któremu dobro Rzeczpospolitej na sercu leży, spotkawszy się z objawami zła w życiu publicznym, winien się temu złu odważnie przeciwstawić. Winien stanąć na straży etyki obyczajów obywatelskich i uczciwie pojętego dobra.

Łamy Polskiej Myśli Niezależnej stoją do jego dyspozycji.

Zwracamy uwagę, iż artykuły nasze są bezimienne, za które odpowiada redaktor pisma. Jednakże wszelkie rękopisy do nas nadsyłane muszą być opatrzone pełnym imieniem i nazwiskiem wraz z podaniem dokładnego adresu. Każda rzecz musi być poparta nieprzekupną prawdą.

Rękopisów się nie zwraca. — Redakcja.

POLSKA MYŚL NIEZALEŻNA

tygodnik, wychodzi w każdą sobotę. Warunki przedpłaty: kwartalnie — zł. 2.50; półrocznie — zł. 5; rocznie zł. 10; z dostawą do domu.

Konto czekowe P. K. O. — 25.441.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wilcza Nr. 16, m. 28.

Redaktor przyjmuje interesantów od godz. 16—19-ej. Tel. 9-53-56.

Redaktor i wydawca: Jan Kozubski, Warszawa.

Zakłady Graf. „St. Skierkowski i Sp. z o.o." Warszawa, Hoża 55, tel. 7.22.05